

glow
PRZEWODNIK

BIESZCZADY



slow
PRZEWODNIK

BIESZCZADY

Peter Zralek



Tekst: **Peter Zralek**

Redakcja: **zespół Wydawnictwa SBM**

Korekta: **Agnieszka Niegowska**

Projekt makiety: **Agata Mościcka**

Opracowanie graficzne: **Luba Ristujczina Studio Litera – www.studio-litera.pl**

Schematy: **Marcin Kot**

Projekt okładki: **Aleksandra Zimoch**

Ilustracje na okładce: **Dreamstime.com: © Dzewul**

Copyright for text, cover and layout © Wydawnictwo SBM, 2022
Warszawa 2022



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.wydawnictwosbm.pl

ISBN 978-83-8222-827-4

SPIIS TREŚCI

Bieszczady w rytmie słow.....	4
W Sanoku. Skansen, Beksiński i Szwejk	10
Zagórz. Gościnna brama Bieszczadów.....	42
Lesko. Miasto wielu kultur	58
Komańcza. Dawna kraina Łemków	76
Ustrzyki Dolne. Drezyną wśród gór.....	96
Ustrzyki Górne. Wolność, zakapiory, bufo i bubo	112
Muczne i Bieszczadzki Worek. Ku źródłom Sanu	136
Cisna. Ciśnij w góry!.....	158
Wetlina. Połoniny, tarciały i ikony	176
Dwernik. Plan filmowy na południe od Otrytu	194
Chrewt. Enklawa spokoju	208
Czarna. Cerkiewne safari	222
Nowosiółki, Hoczew i Baligród. W krainie bieszczadzkih aniołów	244
Wokół Jeziora Solińskiego. A może nad Bieszczadzkie Morze?.....	266
Indeks.....	287



BIESZCZADY W RYTMIE SŁOW

W sumie takie wstępy pisze się dość prosto. Mają przekonać czytającego, że warto książkę kupić i właśnie z nią wybrać się w opisywany region. Tyle że, Bieszczady nie dadzą się tak łatwo zasufladkować. Wróć! Żle. Może należałoby raczej napisać, że w odróżnieniu od greckich wysp czy polskiego wybrzeża nie są miejscem dla wszystkich? Ale to też nie jest prawdą. Gdyby to nie był frazes, powiedziałbym, że te góry opowiedzą nie tylko o sobie. Powiedzą przyjezdnemu także coś o nim samym.



Zacznijmy od tego, że obraz Bieszczadów w świadomości przeciętnego Polaka czy Polki przeszedł chyba najdłuższą z możliwych dróg. Od: „Gdzie ja jestem? W Bieszczadach?! – pytał jeszcze w PRL-u żartobliwie dramaturg i scenarzysta Jerzy Janicki. – Co to ponoć wilki podchodziły tam pod same okna chałupy? Co to ponoć kraina bez Boga i milicji, za to pełna kryjących się przed prawem i alimentami opryszków?” (Jerzy Janicki, *Opowieści bieszczadzkie*, Olszanica 2014), do:

„Gdy w kawiarni mroczno
i kawa już zimna
zawsze są Bieszczady
więc rosną mi skrzydła”

(*Bieszczadzka gałązka*, Stare Dobre Małżeństwo, słowa: Adam Ziemianin)

Bieszczadzkie połoniny





Podróżny może spytać: co jest dzisiaj kluczem do poznania tych gór? I powiedzmy od razu, że jeśli coś takiego w ogóle istnieje, to wydaje się, że może nim być dokładnie to, co jest kluczem – albo lepiej: przepisem – również do dobrego życia. To czas. Nie, nie będzie tu utyskiwań nad tempem dzisiejszego świata. Mimo że cywilizację budowały wolno tysiące pokoleń, to poganiano przecież nawet robotników przy wznoszeniu piramid. Czas był ważny, nierzadko rozstrzygający. W tych górach w jakimś sensie będziemy poza nim, ale i dotkniemy go w innym znaczeniu.

Nie można robić nic bardziej bieszczadzkiego niż włóczyć się tutajszymi połoninami. Czy takie chodzenie nie sięga jednak czegoś głębszego w nas samych? Wszystkie osiadłe już ludy mają za sobą okres nomadyzmu, przemieszczania się, szukania miejsca. Z tym wiąże się chęć odkrywania, ciekawość i zwykły zachwyt nad nowym, otwierającym się za każdym pokonywanym wzgórzem, krajobrazem. To jakoś dalej w nas drzemie. Genetyk powiedziałby zapewne, że mamy to wdrukowane w DNA. Podobnie jak przyjemność z czasu spędzanego w ciepłe ogniska. Czym jest grill nad bieszczadzkim potokiem, jak nie przypomnieniem rodzinnych ognisk, synonimów bezpieczeństwa i bliskości? Tego może, za czym podświadomie tęsknimy, przykładając elektroniczne pudełko do ucha czy wpatrując się w migocący ekran. Popatrzmy na Bieszczady jak na region, który nam to ponownie daje, nawet dosłownie, bo w niektórych jego partiach nie ma zasięgu telefonii komórkowej.

Ale te góry też uczą. Ta książka nie jest żadnym wykładem historii. I jeśli już użyłem tu słowa „klucz”, to nie została według żadnego klucza napisana. Zebrałem w niej jednak kilka tematów, które od dawna fascynują podróżujących. Czasami są to tylko sygnalizacje, powiewające w bieszczadzkim fenie chorągiewki wyznaczające obszary warte uwagi. „Uwaga” to następne po „czasie” istotne tu słowo.

Nie da się napisać wszystkiego, ba, nawet o większości wydarzeń wspomnieć – żadna publikacja tego nie robi. Czytelnik znajdzie tu oczywiście wszędobylskie w Bieszczadach żubry, wypchanego niedźwiedzia premiera Jaroszewicza, proziaki, ikony i zaporę w Solinie, ale przede wszystkim ludzi. Są tu, poza współczesnymi zakapiorami czy wspaniałym artystą z Hoczewi, Zdzisławem Pękalskim, dawniejsi,

jak Grzegorz z Sanoka, pułkownik Gorzechowski czy popadający już w zapomnienie poeta Jerzy Harasymowicz. Zaawizowałem też rzeczy mniej znane, jak na przykład szwedzki epilog w rozdziale o Lesku czy bojkowskie wierzenia. To tylko zachęta do dalszej lektury, własnych odkryć i niechodzenia jedynie utartymi ścieżkami, chyba że jesteśmy w Bieszczadzkim Parku Narodowym, gdzie to jest wskazane.

Jeśli chodzi o przyrodę, to mówimy o pięknie tych gór i to pięknie czystym, z najwyższej półki. Nie ma ogólnie przyjętej definicji piękna, ale Bieszczady są najpiękniejszymi górami Polski. Odczucie to warunkuje jednak nasza reakcja, a właściwie interakcja. Nie sposób nie zgodzić się tu z Adrianem Markowskim, który pisze, że: „Te góry nie są skąpe, ale nie obdarowują każdego bezkrytycznie, po równo. Dawkują własną miarą minione i obecne, hołubiąc zwłaszcza wędrowców nienapastliwych, skorych do pokory. Takich, którzy potrafią z naturą rozmawiać i wiedzą, kiedy milczeć” (Adrian Markowski, *Bieszczady*, Warszawa 2021).

Podróżuję z turystami od lat i grupy, z którymi bywam w Europie, wiele różni, ale i tu da się często wyprowadzić wspólny mianownik. Jak choćby ta, nie wiadomo skąd pochodząca presja zobaczenia wszystkiego. Czego – wiadomo to od początku – nie da się zrobić. Nic dziwnego, że pod koniec całego dnia takiej objazdówki – do której pasowałoby określenie Władysława Bartoszewskiego „pędzę jak dziki tapir” – pod pretekstem uporządkowania zdjęć padają pytania w rodzaju: „Przepraszam, jak to miasto się właściwie nazywało?”. „Florencja, proszę pani, Florencja”.

W Bieszczadach będzie to pewno prostsze, bo nie ma tu strzelistych katedr, choć są urokliwe cerkwie, i nie będziemy odczuwać jakiegoś irracjonalnego wyrzutu sumienia, że kręcimy się kajakiem godzinę czy dwie po Jeziorze Myczkowskim, wypatrując ptactwa w przybrzeżnych zaroślach. Może to też okazja, by wrócić do dzieciństwa i pobawić się w Indian? A jeśli w Indian się wtedy nie bawiliśmy, tym przyjemniej będzie to zrobić teraz. Indianie, jak wiadomo, mieli czasem na pieńku z kowbojami, a takich w polskich Bieszczadach nigdy nie brakowało. W górach jest wiele okazji, by pojeździć konno albo wreszcie nauczyć się to robić. Dlaczego nie na jednym z prawdziwych

huculów, z hodowli których słynęli kiedyś mieszkańcy wschodniej części Bieszczadów?

Poznawać można różnie. Czytając książki bądź ruszając w teren, ale wtedy koniecznie z otwartymi oczyma. Najlepiej zresztą połączyć jedno z drugim. I nie zapominać o tym, że kultura to też zwykłe obyczaje, sposób ubierania się, kuchnia, rozmowy z miejscowymi. I słoik leśnego miodu, z którego Bieszczady słyną. Na to trzeba mieć wspomniany czas. I dokonać selekcji (to już trzecie słowo klucz po „czasie” i „uwadze”).

Całe piętro w Muzeum Historycznym w Sanoku obwieszone jest ikonami. To bardzo cenne dzieła sztuki, znakomity zbiór uznany w świecie. Wybierzmy jednak tylko kilka prac i przyjrzyjmy się im bliżej i dłużej. Popatrzmy na spojrzenia świętych – jedno są surowe, inne łagodne. Jedne i drugie miały przekonać wiernych, często niepiśmiennych, do obrania właściwej w życiu drogi. W refleksjach tego rodzaju może pomogą nam uwagi ikonopisarki Katarzyny Wolan w rozdziale o Wetlinie?

Zakończmy najlepszym cytatem o Bieszczadach – słowami Wojciecha Młynarskiego: „Po prostu wyjedź w Bieszczady”.

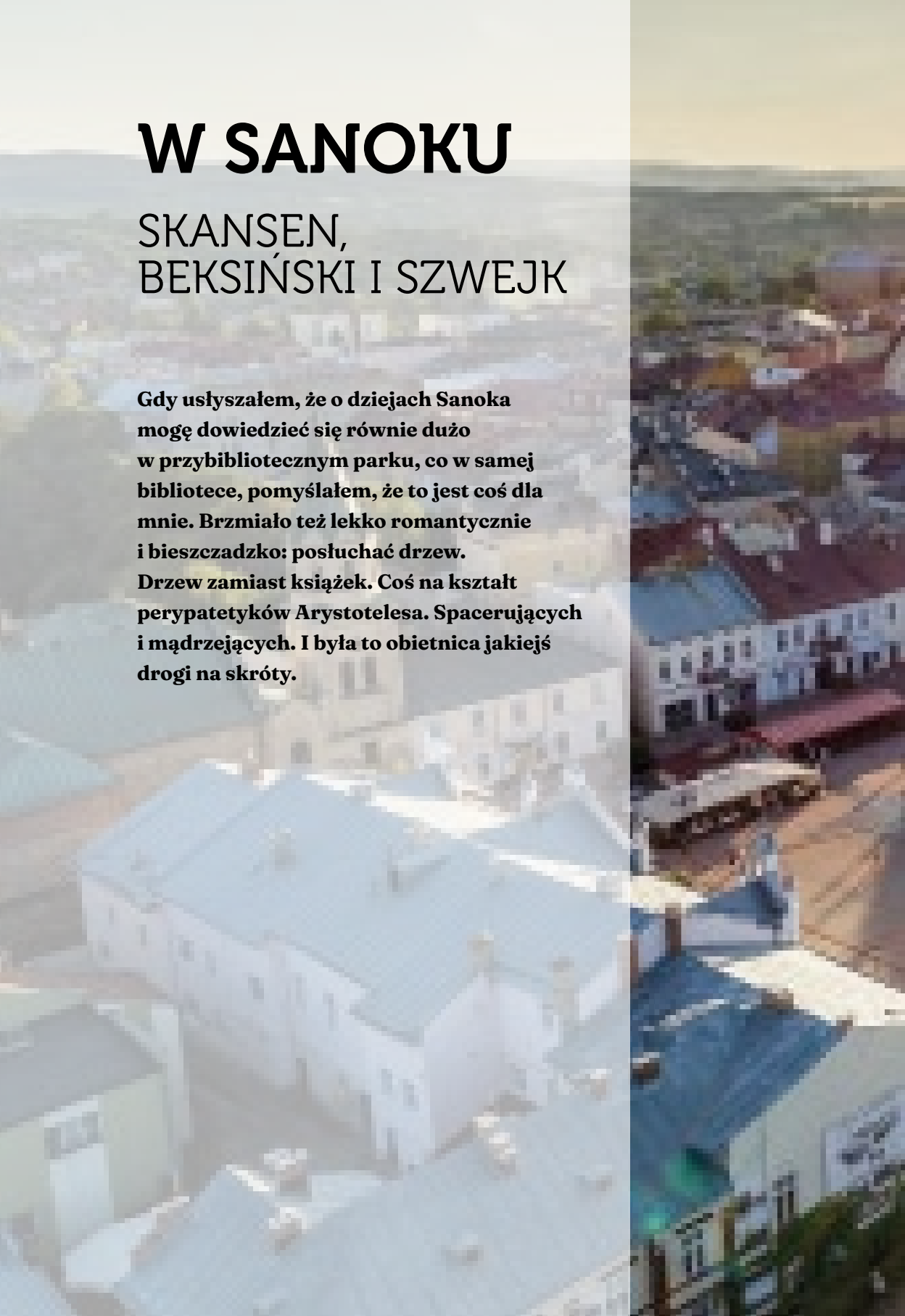


W SANOKU

SKANSEN, BEKSIŃSKI I SZWEJK

**Gdy usłyszałem, że o dziejach Sanoka
mogę dowiedzieć się równie dużo
w przybibliotecznym parku, co w samej
bibliotece, pomyślałem, że to jest coś dla
mnie. Brzmiało też lekko romantycznie
i bieszczadzko: posłuchać drzew.**

**Drzew zamiast książek. Coś na kształt
perypatetyków Arystotelesa. Spacerujących
i mądrzejących. I była to obietnica jakiejś
drogi na skróty.**







Grodzisko
Horodyszcz
w Trepczy

s. 14



• DZIKIE POŁUDNIE •
(Międzybrodzie koło Sanoka)



Hotel Jagielloński

s. 29



Skansen

s. 18



Cmentarz

s. 35



Pomnik
Beksiańskiego

s. 36



Ramerówka

s. 41



Muzeum Historyczne
w zamku

s. 29



Sanocki rynek

s. 35



Proziakownia

s. 36



Pomnik
Wojaka Szwejka

s. 41



Sanok
Park przy
Bibliotece
Miejskiej

3,5 km

7 km

1 km

ok. 2 km

ok. 1,5 km

350 m

350 m

350 m

450 m

450 m

PARK

Prawdę mówiąc, przeraził mnie nieco grubawy wolumin Macieja Augustyna o Ustrzykach Dolnych, jednego z bardziej szanowanych miejscowych historyków i współautora wspaniałych roczników „Bieszczad”, wydawanych od 1993 roku przez Towarzystwo Opieki nad Zabytkami (to prawdziwe źródło wiedzy o regionie). „Oczekujemy następnego tomu...”, napisał podekscytowany recenzent. Ale dróg na skróty po wiedzę raczej nie ma. Rzeczywistość o „uczących” roślinach w Sanoku okazała się trochę inna.

Wspomniany **park** należy do **Biblioteki Miejskiej**. Bardziej urokliwej biblioteki nie widziałem od dawna. Budynek przy ulicy Lenartowicza 2 to dawna willa sanockiego architekta Wilhelma Szomka z 1892 roku. Przyjemnie jest oglądać dobrą secesję tak daleko na wschodzie kraju. Park to właściwie przydomowy ogród. Niezbyt duży, ma ciekawe graffiti na okalającym posesję murze i kilkanaście drzew. Nie wiem, które z nich to te „historyczne”. Tego nie wiedzą też sympatyczne panie w budynku, ale wie dyrektor placówki urzędujący na drugim piętrze.

– Niech pan patrzy... – odsłania zasłonkę w gabinecie. – Te dwa małe drzewka, te przed obeliskiem... to one!

– A trzecie?

– Lipę zjadł nam ten wielki platan. Zaslaniał ją. Musieliśmy ją wyciąć.

Drzewka zasadzono nie tak dawno. Ta lipa szerokolistna (*Tilia platyphyllos*), której już nie ma, upamiętniała pierwszą wzmiankę o Sanoku z 1150 roku. Wpis o istnieniu tu grodu znajduje się w ruskim Latopisie Hipackim.

– Te dwa drzewka nazywają się Jerzy i Bartko.

To pierwsze to surmia (*Catalpa bignonioides*). Ładna nazwa, ale trudniej o bardziej pospolity wygląd. O tej porze roku wygląda raczej jak prosty drapak. Jest goła, bez liści. Roślina ma przypominać Jerzego II Trojdenowicza, piastowskiego księcia, który nadał Sanokowi prawa miejskie w 1339 roku. Pobliski miłorząb (*Ginkgo biloba*), Bartko, reprezentuje pierwszego wójta Sanoka, Bartka z Sandomierza.

Na tym nie koniec edukacji. Obok willi-biblioteki stoi postać Mojżesza. Przynajmniej na takiego wygląda. Wrażenie potęguje obecność książki w lewej ręce, która wygląda jak tablice

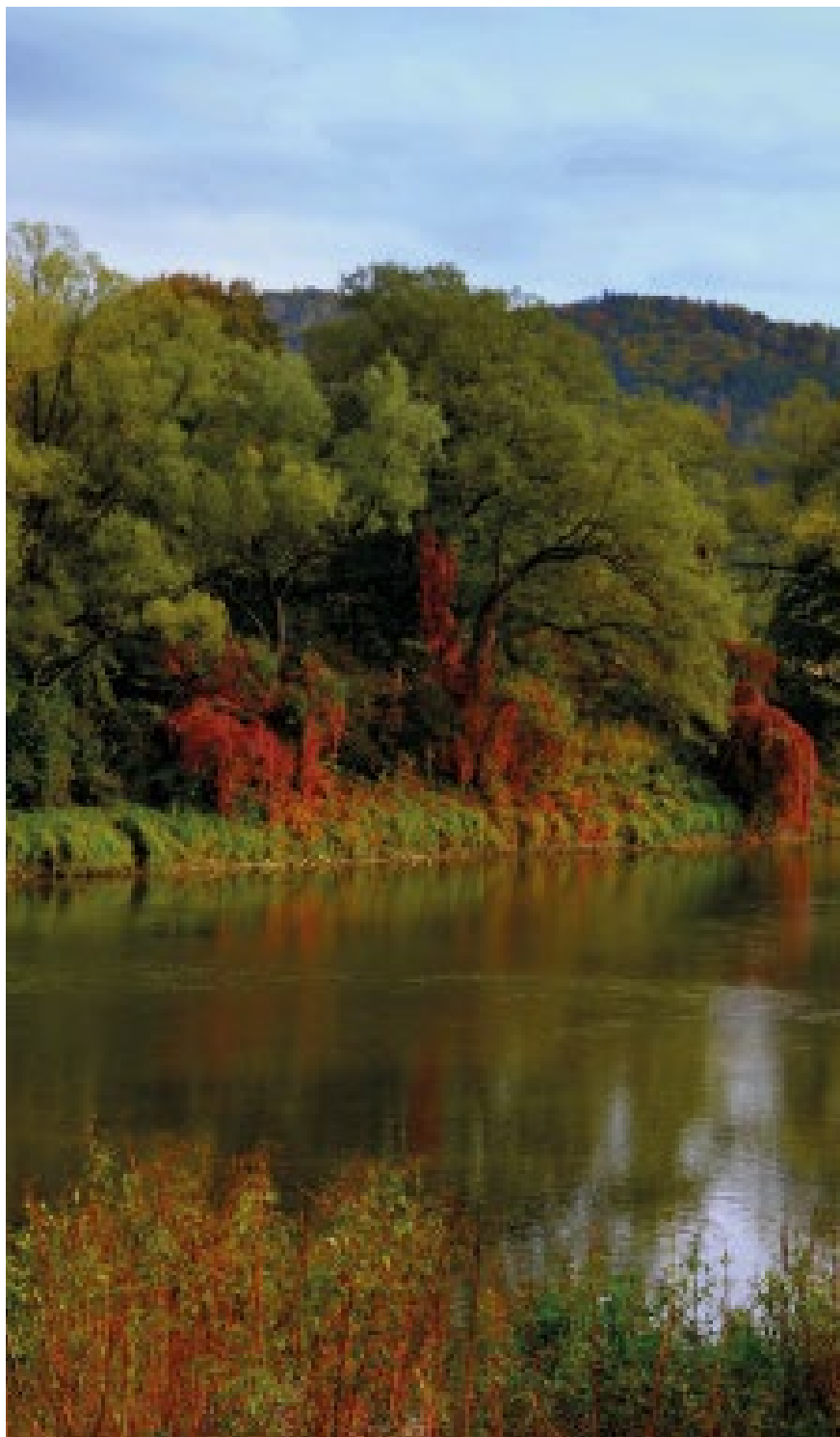


z przykazaniami. Rozmiary też są biblijne – trzy i pół metra, nie licząc kamiennej podstawy. Może to Charles Heston z filmu *Dziesięcioro przykazań* w reżyserii De Mille’a z 1956 roku? Postać stworzona przez samego mistrza Mariana Koniecznego przedstawia jednak nie starotestamentowego proroka, ale człowieka, który mógłby napisać książkę pod tytułem *Jak urodzić się w małym mieście i zdobyć świat?* To **Grzegorz z Sanoka**, który ma też ulicę swojego imienia przecinającą Śródmieście. Jego biograf, Filip Kallimach, uściśla, że miejscem urodzenia było *pago*, czyli wioska. I nieco z dala od Sanoka, bo wieś leżała nad Wisłokiem. Podobno jako dwunastolatek Grzesiek uciekł z domu na zachód i włóczył się tam przez następne dziesięć lat. Około 1438 roku był już kopistą papieża Eugeniusza IV, a później został kapelanem króla Władysława Warneńczyka i metropolitą Lwowa.

TREPCZA

Gród z 1150 roku wspomniany w Latopisie Hipackim nie leżał, jak się można było spodziewać, w miejscu dzisiejszego sanockiego zamku. Nie znaleziono też jego śladów na drugim wzniesieniu miasta, górze Stróżna (364 m n.p.m.), zwanej też Parkową. Pozostałości osady czy warowni znajdują się około czterech i pół kilometra na północ od sanockiego rynku, na wzgórzu w pobliżu miejsca, gdzie do Sanu swoje wody wlewa strumień Sanoczek. Z Sanoka idzie się czy jedzie prosto ulicą Sanocką przez wieś **Trepczę**. Opuszczając jej zabudowania, po minięciu po lewej stronie zakładu produkcji drzewnej, przekracza się mostek nad Sanoczkiem. Zalesione wzniesienie po lewej stronie drogi to wzgórze Fajka.

Można rzecz jasna jeździć czy wypoczywać w Bieszczadach, omijając historię. Tak jak da się odpocząć zupełnie nieźle w Grecji, nie wiedząc co to stifado lub kim był Perykles. Pójście na śródziemnomorską plażę będzie w Bieszczadach odpowiadać wędrowce połoninami. Nie musimy się z nikim spotykać, nikogo słuchać. Ale wydaje mi się, że dzisiejszy przybysz powinien choć z grubsza poznać te ziemie. Winni to jesteśmy ludziom, którzy tu mieszkali, a myślę, że przede wszystkim, tym którzy tu, nie tak dawno temu, za sprawą polityki mieszkać już nie mogli.







Na wzniesieniu znaleziono ślady znacznie starsze niż średniowieczne, bo celtyckie, a nawet pochodzące jeszcze z epoki brązu, czyli sprzed trzech i pół tysiąca lat. Trudno w to uwierzyć, że grodzisko zwane dziś **Horodyszcze** zbudowali ludzie, którzy mieli kontakt z Mykeńczykami z Krety i cywilizacjami Azji Mniejszej. W drugim miejscu na Fajce, zwanym **Horodna**, archeolodzy odkryli między innymi resztki spalonej świątyni. Osada istniała tu zapewne od VIII wieku. I tu był właśnie pierwszy Sanok. Niewielkie znaleziska z Fajki przechowuje Muzeum Historyczne w Sanoku.

Badacze wysunęli już sporo teorii na temat tego miejsca. Najbardziej popularna mówi o zniszczeniu osady przez Tatarów w połowie XIII wieku. Nową twierdzę wzniesiono bardziej na południe, w miejscu dzisiejszego Sanoka.

Od razu powiem, że teren obu grodzisk to cel wędrowki już nawet nie dla pasjonatów, a obsesjonatów. To nierozpoznawalne ślady w lesie oznaczone drewnianym krzyżem i dalej zaorane pole.

Piękny San zachęca do długich spacerów, niekoniecznie historycznych. Szczególnie latem. Warto przejść się wzdłuż rzeki – w obrębie Sanoka będzie to jej prawy, wschodni brzeg. Można też poruszać się po samej rzece pontonami raftingowymi pięcio- i siedmioosobowymi. Spływy takie organizuje wiele tutejszych biur. Dziewięciokilometrową trasę z Sanoka

do Dębna pokonuje się w dwie lub dwie i pół godziny. Po drodze, po lewej stronie, widać historyczne wzgórze na północ od Trepczy.

Jestem tu zimą, od kilku dni niezbyt mroźnią, więc rzeka nie zamarza. Mam ze sobą książkę Jerzego Fąfary o bieszczadzkim rzeźbiarzu Zdzisławie Pękalskim wydaną przez Podkarpacki Instytut Książki w 2016 roku, w której znajduję taki fragment:

„A jeżeli trafi się tu, gdy lody puszcza, niczego ci nie trzeba. San jest wtedy jak niedźwiedzi pomruk. Straszny i piękny”.

W okolicy jest sporo miejsc noclegowych, z których wyróżnia się **Dzikie południe** w Międzybrodziu, niecałe trzy kilometry od Trepczy. Gospodarze przygotowali dwa domy z dwiema sypialniami i kuchnią. Z okien roztacza się piękny widok na ogród. Obok jest mały staw, a do Sanu spacerkiem idzie się zaledwie trzy minuty.

SKANSEN

Wracam do Sanoka i butami oklejonymi błotem ze wzgórza Fajka przekraczam bramy **Muzeum Budownictwa Ludowego**, słusznej dumy miasta. Ale muszę zacząć od „bulwersującego” ogłoszenia w miejscowej prasie sprzed kilku dni. Anons brzmiał tak:

„(...) Muszą to być panowie w wieku od 25 do 65 lat o ciemnej karnacji, z brodami. Natomiast panie chcące wystąpić w filmie powinny mieć słowiańskie rysy. Zgłoszenia należy wysłać na adres...”.

Zastanawiam się więc, czy jest coś takiego, jak słowiańskie rysy? Jak one wyglądają? Jesteśmy przecież przysłowiowym koktajlem genów. Magister Leonia Brzozowska pokazująca mi w zeszłym tygodniu w krakowskim Muzeum Etnograficznym sztukę Huculów i Bojków mówiła o trudnym do określenia pochodzeniu większości mieszkańców kultur pogranicznych.

Na terenie Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku od kilku dni powstają zdjęcia do filmu. Opowiada on o życiu jednego z twórców chasydyzmu, cadyka Izraela ben-Eleziera, czyli Baala Szem Towa, znanego szerzej publiczności między innymi z książki Olgi Tokarczuk *Księgi Jakubowe*.

– Brodę mam w torbie – żartuję, ściskając dłoń Marcina Krowiaka, pracownika działu promocji muzeum. Ma dziś urwanie głowy



z filmowcami, ale widzę, że wyraźnie lubi to zajęcie, i po chwili przekonuję się, że jest też świetnym organizatorem.

Zapomniana historia to tytuł filmu kręconego zimą 2022 roku. Reżyserem jest Yehuda Grovais z młodszego pokolenia filmowców izraelskich. Co ciekawe, porzucił karierę obiecującego pracownika towarzystwa ubezpieczeniowego i stanął za kamerą. Już zdobył przydomek Stevena Spielberga filmów haredi, czyli judaizmu ultraortodoksyjnego. Sam jest ortodoksem, na głowie ciągle nosi kipe. Interesujące, jak sobie radzi jako filmowiec i czy współwyznawcy oglądają jego filmy. Przecież część haredi nie korzysta z telewizorów czy telefonów, nie zagląda nawet do drukowanych gazet.

– Pojadą na cmentarz w Lesku? – pytam pana Marcina, wskazując na żydowskich aktorów i personel techniczny.

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

Statyści wyraźnie marzną w przerwach. Grali wcześniej w innych produkcjach. Na przykład pan Marek, który u Wojtka Smarzowskiego w filmie *Wofyń* był rozstrzeliwany kilka razy, mówi dziennikarce „Tygodnika Sanockiego”, Edycie Wilk, która też bierze udział w filmie, że to dlatego,



iż nie udawało mu się upaść jednocześnie ze strzałem. „Raz spadałem za szybko, raz za wolno”. Robię zdjęcia paniom, których wygląd i uroda odpowiadają kotłowi etnicznemu, jaki mieliśmy w Bieszczadach. Jest typ słowiański, rusinowski, polski i żydowski. Czyli polscy Pogórzanie i polsko-ruscy Dolinianie, rusinowscy Bojkowie i Łemkowie, Żydzi.

– Skansen w ogóle jest gotowym planem filmowym – mówi Marcin Krowiak. – Mieliśmy tu sporo realizacji.

Zaczyna ostro zacinać i przed śniegiem chowamy się w kościele.

– Jest z tysiąc sześćset sześćdziesiątego siódmego roku, przeniesiony z Bączala Dolnego – objaśnia pan Marcin. – Jeszcze w latach siedemdziesiątych pełnił funkcję sakralną. Ale nawet teraz odprawiane są tu czasami msze święte, na przykład w Niedzielę Palmową, choć na stałe nie ma tu Najświętszego Sakramentu.

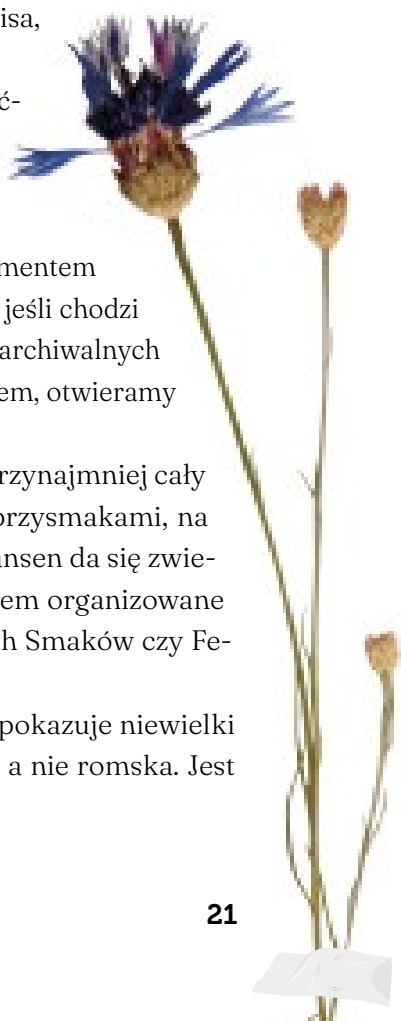
Na terenie skansenu stoi poza tym kilka cerkwi i synagoga z Połańca. Ta ostatnia jest dokładną repliką XVIII-wiecznej, odtworzona dzięki odnalezionej dokumentacji. Zagra w filmie Grovaisa, który jest nią wyraźnie zachwycony.

– Skansen był tworzony od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku po wysiedleniach, kiedy Bieszczady i Beskid Niski opustoszały – mówi Krowiak. Budynki są więc oryginalne. Pokazujemy wielokulturowość tego regionu. Najnowszym elementem jest Rynek Galicyjski, który też jest pewnym novum, jeśli chodzi o muzealnictwo. Zabudowania zostały odtworzone z archiwalnych rysunków, zdjęć. W sezonie turystycznym, a więc latem, otwieramy tam kramy, jest działająca poczta, rzemieślnicy...

Latem można i warto tu spędzić więcej czasu, przynajmniej cały dzień. Na terenie działa restauracja z lokalnymi przysmakami, na przykład z proziakami czy bałabuchami, a sam skansen da się zwiedzić, siedząc na wozie ciągniętym przez konie. Latem organizowane są też wspaniałe imprezy, jak Kiermasz Karpackich Smaków czy Festiwal Zakłęte w Drewnie.

– A tam stoi cygańska chata – Marcin Krowiak pokazuje niewielki budynek na wzniesieniu. – Tak, właśnie cygańska, a nie romska. Jest

Cerkiew pod wezwaniem Narodzenia Bogurodzicy
przeniesiona z Ropek do skansenu w Sanoku



z Kopytowej. Cyganie mieli ważne funkcje w wielu społecznościach, choć przebywali na ich pograniczach. Przede wszystkim byli muzykami, grali na uroczystościach, ślubach i byli często kowalami.

Przy chacie stoi właśnie kuźnia przeniesiona z Wyżnego. W małym domku wielkości kiosku z gazetami mieszkało jedenaście osób. Gospodarz spał w łóżku nie tylko z własną żoną, ale i z matką. Żona była Polką, on Cyganem, więc znaleźli się między dwiema grupami.

– Był niezłym fryzjerem – mówi pan Marcin – i klientów wśród najbliższych mu nie brakowało.

Chcę zobaczyć jeszcze coś celtyckiego. Ślady osady zamieszkannej przez celtyckie plemię Anartów znaleziono na wzgórzu od północy. W pobliżu zrekonstruowało dwie ziemianki, w jakich mieszkali. Wyglądają zupełnie znośne. Zaryzykowałbym twierdzenie, że mieszkało się w nich lepiej niż niektórym pionierom bieszczadzkim w latach powojennych. Starożytny Ptolemeusz wspomina o Anartach w kontekście Dacji, czyli północno-zachodniej Rumunii. Píše o nich też Juliusz Cezar. Nad Sanem Celtowie są od VI wieku przed naszą erą. Odkrywca Horodyszczu i obecny dyrektor Muzeum Budownictwa Ludowego Jerzy Ginalski uważa, że to złoża solankowe Gór Słonnych ściągnęły nad San Celtów.

Prawdopodobnie nazwa rzeki San ma etymologię celtycką, w znaczeniu „wartki, bystry strumień”. Takie pochodzenie mają też nazwy innych rzek południa Polski, na przykład Raby czy Ropy w Małopolsce. Informacja, że Celtowie polowali i hodowali praktycznie wszystko to, co się dało hodować: od rogacizny po drób, zapala czerwone światło. Chodzi o lud Bojków, który w Bieszczadach zajmował się też głównie wypasem zwierząt. Może jest tu jakieś powinowactwo?

– Czy Bojkowie są potomkami Celtów? – pytam pana Marcina. – Bo w literaturze...

Słyszę lekko tłumiony śmiech.

– Opracowania polskie nie wiążą osadnictwa wołoskiego z celtyckim, które na tym terenie występowało w innym czasie.

– Wedle spisu powszechnego z dwa tysiące drugiego roku w województwie podkarpackim mieszkało prawie trzy tysiące Ukraińców,



stu czterdziestu siedmiu Łemków i ani jednego Bojka. Czy widział pan ostatnio jakiegoś Bojka?

– Nie. Łemkowszczyznę i Beskid Niski wysiedlano od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Bojkowszczyznę, czyli Bieszczady, wcześniej. W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku duża grupa osób wyjechała na Ukrainę... Na te tereny przyjechali między innymi tak zwani Zabuzanie... Bojkowie to jest tak naprawdę grupa, która na terenie Polski przestała istnieć już po wojnie.

Bojkowie i Łemkowie są mieszanego pochodzenia: rusinowskiego i wołoskiego. Posługują się dialektami języka rusinowskiego. Dobrym wstępem do tematu tych grup może być następująca charakterystyka ludności rusinowskiej, którą znajduję w dokumencie Gubernium Lwowskiego z 1841 roku: „Rusini zajmują większą połowę wschodniego kraju. Lud ciemny, krnąbrny, leniwy, zawzięty i zuchwały. Mówią



innym językiem, wyznają inną religię. Dla fanatyzmu religijnego niechętni są swoim panom, ślepo posłuszni popom, których nazywają swoimi dobrodziejami. Nie lubią panów, nazywają ich Lachami. Są bardzo brudni, mało dbają o swoje gospodarstwa, dlatego bardziej jak inni włościanie Galicji popadają w głód i nędzę”.

Różne grupy Bojków wprowadziły do swego słownika – w zależności od miejsca pobytu – elementy innych języków: polskiego, węgierskiego, słowackiego i rumuńskiego. W ich gwarze zachowały się też cechy języka prasłowiańskiego. O Łemkach chcę się dowiedzieć więcej, będąc w Komańczy. Czytając o Bojkach, trudno nie zauważyć pewnej do nich niechęci. Choć może nie, może to tylko stwierdzenie faktu? Mieczysław Orłowicz w swoim *Przewodniku po Galicji* z 1919 roku notuje na przykład o Bojkach: „(...) nie odznaczają się ani urodą, ani pięknymi strojami”. Chwali natomiast architekturę ich cerkwi.

Nieco upraszczając, można powiedzieć, że od zachodu Bojkowie sąsadowali z Łemkami, a od wschodu z Huculami. Od pasterstwa, a głównie wypasu wołów, miała podobno pochodzić ich nazwa. „Bojko” to uparty wół. Etnograf Oskar Kolberg napisał o Bojkach w ten sposób: „Kochają się w wołach, jak Huculi w koniach, więc przez nich zwani bykami, bojkami, są pogardzani”.

Sami Bojkowie nigdy się Bojkami nie nazywali, szczególnie gdy słowo nabyło pejoratywnego wydźwięku. Mówili o sobie Hirniacy lub Werchowycy, czyli „ludzie gór”. Nazywanie ich góralami (góralami sanockimi), jak to brzmiało w XIX wieku, jest więc jak najbardziej na miejscu. Obok bydła handlowali też solą po obu stronach Karpat. Po drugiej wojnie światowej zostali z polskich Bieszczadów wysiedleni, stanowiąc tam osiemdziesiąt procent mieszkańców. Pozostawili po sobie nieco drewnianych i kamiennych budowli, cmentarzy i cerkwi. Wynotowuję dwie cerkwie bojkowskie, które muszę zobaczyć: w Smolniku i Równi (zobacz rozdział *Czarna. Cerkiewne safari*, str. 222). W skansenie poza cerkwiemi z Rosolina i Grąziowej stoją między innymi chyże, czyli wąskie i długie chaty Bojkowskie, oraz młyn i studnia.





Rodziny bojkowskie nie różniły się od otoczenia, były wielopokoleniowe. Główną rolę odgrywał w nich ojciec, który miał decydujący głos. Bojkowie sami się nieco izolowali, dlatego byli gorzej postrzegani od sąsiadów, Łemków czy Huculów. W tym zamknięciu się we własnym środowisku przypominali trochę Żydów. I tak jak oni sprowadzali na siebie nierzadko niechęć otoczenia. To może dlatego znajdujemy u Kolberga następujący passus: „Są poczciwi, wytrwali, zimno i niedostatek cierpliwie znoszą (...). Gościnność tak szanują, że ostatniego szczątka przychodniowi gotowi udzielić. (Bojko) stoi jeszcze na niskim stopniu oświaty, mnóstwu zabobonów hołdując. Do wady jego należy także zbyt ni nałóg pijaństwa”.

Antoni Ossendowski w *Cudach Polski* w tomie *Karpaty i Podkarpatie* z 1928 roku napisał: „Bojkowszczyzna to biedny kraj. Ludność jego ciężko pracując na mały dostatek, żywi się wyłącznie ziemniakami i owsianymi plackami”.

W innym tekście ten sam Ossendowski pokusił się o wskazanie, czym Bojkowie różnili się od Łemków: „charakterem – beztroskim, wesołym, żadnym hucznej zabawy, śpiewu, tańca i zielonej okowity, najmocniejszej (...). I duszę mają inną! Zna ona żar namiętności, gniew nieokiełznany”.

Mnie zafascynowało jeszcze wiwkanie. Na połoninach, gdzie Bojkowie prowadzili wypas, porozumiewali się okrzykami, czyli wiwkami, słyszalnymi setki metrów. Jako, że to głównie młodzież pasła bydło, odpowiedź na wiwkanie była odpowiednikiem powłóczystego spojrzenia lub podniesienia upuszczonej celowo chusteczki na włoskiej *passeggiata*, czyli przechadzce, jako sygnał, że chłopak czy dziewczyna są zainteresowani.

Gdy wychodzę ze skansenu w jednej z chałup przy Rynku Galicyjskim pali się jeszcze światło. Pani sprzedaje pamiątki.

– Magnesy.... Sama zaprojektowałam, o te z cerkwią... – Dla żony mam ikonkę. Te anioły, zielone, bieszczadzkie... po sto czterdzieści złotych... Pan z filmu?

– Nie.

– A bo mój syn kiedyś zagrał. Kilka dni przeleżał w zimnym rowie, takie sceny tam były... Pochorował się. Wydaliśmy więcej na lekarzy niż to, co dostał...

ŚLADAMI BEKSIŃSKIEGO

– Beksiński to spał w pokoju numer szesnaście – recepcjonistka wychyla się zza kontuaru. – To na lewo od wejścia.

– Można zobaczyć?

– No pewnie. Już otwieram.

Zdzisław Beksiński przeniósł się z Sanoka na stałe do Warszawy w 1977 roku.

– Zatrzymywał się tu, kiedy przyjeżdżał do nas.

– Dlaczego akurat tutaj?

– Z tego pokoju miał widok na miejsce, gdzie stał kiedyś jego dom.

Pokój numer szesnaście składa się z dwóch pomieszczeń: sypialni i czegoś, co wygląda na jadalnię – stoi tu długi stół z sześcioma krzesłami. Na ścianach kopie, zdaje się, że Chełmońskiego czy Gierymskiego. Przez duże okna na parterze malarz widział za Potokiem Płowieckim kilkadziesiąt metrów dalej parcelę. Tam stał jego dom rodzinny. Teren

